


KAROLINA PAWŁOWSKA
redaktor wydania

Dla pesymistów nowy rok to nowe problemy i zmartwienia, dla optymistów – niespodzianki i kolejne wyzwania. Jaki jednak będzie ten właśnie rozpoczynający się rok? Wiele zależy od nas i naszego nastawienia. Cuda zdarzają się codziennie, trzeba je tylko umieć dostrzec. Dla bohaterów artykułu Julii Markowskiej niewątpliwym cudem jest pojawienie się na świecie nowego człowieka. „– Położne mają możliwość na co dzień uczestniczyć w cudzie narodzin, mamy możliwość »dotykania« radości macierzyńskiej – opowiada Agnieszka Dżuga”. Są też mniejsze cuda powszednie – wystarczy się na nie otworzyć. ■

ZA TYDZIEŃ

■ Opowiemy o WALECKICH GWIAZDKACH z KLUBU 4H, który jest częścią wielkiej światowej organizacji.

Franciszkańskie kwestowanie

Nie jesteśmy smutasami!

Drugiego dnia świąt przed kościołem św. Antoniego w Wałcu po każdej Mszy św. rozlegał się radosny kołędowy śpiew. To Młodzież Franciszkańska Tau kołędowała, aby w ten sposób uzyskać środki na wyjazdy rekolekcyjne.

– Śpiewając, uzupełniamy fundusze na rekolekcje, bo nie wszyscy mają możliwości finansowe, by się na nie wybrać, a zebrane pieniądze mogą pomóc rozwiązać ten problem – mówią Paulina Lewandowska i Marcin Skrobczyński. – Gdzie jedziemy na rekolekcje? Część osób na „Spoleto”, część na „Poggio Bustone”. Rekolekcje Spoleto nazywane są też „rekolekcjami nawrócenia”. Ich hasłem przewodnim jest „Komu chcesz służyć? Panu, czy słudze?”, a rekolekcje Poggio Bustone odbywają się pod hasłem „Czyńcie pokutę... bo wkrótce umrzemy”. – Jak reagują ludzie? – zastanawiają się Ewa Iwan, Marta Gnoińska i Daria Hermanowicz.



BEATA STANKIEWICZ

– Różnie, ale przeważnie pozytywnie i szczerze. W ciągu jednego dnia kołędowania udało nam się zebrać wystarczającą kwotę, wszyscy pojedziemy na rekolekcje!

Młodzież Franciszkańska Tau jest wspólnotą, działającą przy Krakowskiej Prowincji Braci Mniejszych Kapucynów. Jest częścią Świeckiej Wspólnoty Franciszkańskiej. – Jesteśmy grupą młodych ludzi, którzy nie wstydzą się swoich przekonań, swojego światopoglądu, i nie uważa-

Pięknym śpiewem Młodzież Franciszkańska zarobiła na wyjazdy rekolekcyjne

ją, że będąc praktykującym katolikiem, trzeba być smutasem; jesteśmy też ludźmi, którzy dali się porwać fascynującej osobowości św. Franciszka z Asyżu i chcą się podzielić tą fascynacją i swoją wiarą – mówią o sobie kołędnicy z MF Tau. – Nie chcemy być tylko grupą ludzi, w której miło spędza się czas. Franciszkańska droga obejmuje całe nasze życie – wędrówka po niej trwa 24 godziny na dobę!

BEATA STANKIEWICZ

UWAGA, REKINY?



PRZEMYSŁAW GRYN

To nie zdjęcie do kolejnej części popularnych „Szczęk”. Załoga kutra KOŁ-178 znalazła w sieciach najprawdziwszego rekina. I to nie byle jakiego, bo żarłacza śledziowego, czyli jednego z rekinów, którym przypisuje się ataki na człowieka. Na szczęście pływający wzdłuż polskiego wybrzeża rekin to niezmiernie rzadkie zjawisko, więc znawcy tematu uspokajają, że kąpiele w Bałtyku są bezpieczne. *Lemna cornubica*, bo taka jest jego łacińska nazwa, występuje w Morzu Śródziemnym i w Atlantyku Północnym i może osiągnąć nawet 3 m długości i 500

W sieci kołobrzeskich rybaków wpadł bardzo rzadko spotykany w wodach Bałtyku rekin śledziowy

kg wagi. Ryba, która trafiła do portu w Kołobrzegu to młody osobnik o długości 1,20 m. Można go było podziwiać podczas świątecznego kiermaszu rybnego w kołobrzeskim porcie. **KA**

Kwesta dla przedszkola



Słupscy artyści przez trzy dni kwestowali na rzecz przedszkola integracyjnego

SŁUPSK. Ponad 6 tysięcy złotych przyniosła akcja charytatywna Nowego Teatru w Słupsku, zorganizowana na rzecz jedynego w mieście przedszkola integracyjnego. Aktorzy przez trzy dni wystawiali „Betlejem polskie” Lucjana Rydla, podczas którego datki zbierał Dziad – jeden z bohaterów sztuki. W ten sposób zebrano 1612 zł. Po jednym ze spektakli odbyła się także licytacja dzieł sztuki i atrak-

cyjnych gadżetów. Licytowano między innymi koszulki podarowane przez ligową drużynę koszykarską Czarni Słupsk oraz przez piłkarza Pawła Kryszalowicza. – Zebrane pieniądze posłużą do rozpoczęcia budowy gabinetu terapii dziecięcej w przedszkolu – informuje dyrektor placówki, Lucyna Budzich. Pełne wyposażenie gabinetu będzie kosztowało około 20 tysięcy złotych.

Bez hali nie ma medali



Nowy obiekt poświęcił biskup senior Tadeusz Werno

STARY JAROSŁAW. W Starym Jarosławiu oddano do użytkowania nową halę sportową. Obiekt posiada własne trybuny oraz pełne zaplecze gospodarczo-sanitarne. Hala kosztowała gminę prawie 3 ml złotych, z tego dofinansowanie z Ministerstwa Sportu wyniosło 590 tys. – Będą w niej organizowane najważniejsze imprezy sportowe gminy Darłowo – mówi wójt Franciszek Kupracz. – Niech służy wszystkim mieszkańcom gminy, a dzieci i młodzież niech zdobywają jak najlepsze wyniki sportowe.

Znakomici goście, którzy przybyli na uroczystość przekazania kluczy, nie szczędzili praktycznych prezentów uzupełniających sportowy magazynek. Biskup Tadeusz Werno poświęcił nowy obiekt i zapowiedział wsparcie w modlitwie o ducha walki sportowej. Zespół taneczny Break Side ze Starego Jarosławia jako pierwszy miał okazję wydeptać nowy parkiet, próbując swoich akrobacji sportowych. Miejmy nadzieję, że inwestycja przyniesie wielu nowych mistrzów sportowych w gminie Darłowo.

Nowe miejsca w Centrum

BIAŁOGARD. Dobiaża końca kolejny etap remontu Centrum Rehabilitacji w Białogardzie. Do końca roku zakończą się prace remontowe jednego ze skrzydeł Centrum, w którym znajduje się główne wejście do szpitala. Budowlancy mieli bardzo mało czasu, ponieważ dopiero w połowie roku powiat białogardzki otrzymał w ramach kontraktu wojewódzkiego 13,2 mln złotych na realizację zadania. – Prace remontowe przebiegają zgodnie z harmonogramem i remonty powinny zakończyć się do końca grudnia – mówi Krzysztof Bağiński, starosta białogardzki. – Szczególnie cieszy nas, że aura jest dość łaskawa i budowlancy nie muszą dodatkowo borykać się z mrozami i śniegiem. Dzięki realizacji kolejnego etapu remontu Centrum Rehabilitacji wzbogaci się o tak potrzebne sale zabiegowe oraz o dwadzieścia łóżek dla pa-



Remontowany budynek doczekał się także nowej elewacji

cjentów, którzy na miejsce muszą czekać nawet kilka miesięcy. – Teraz naszym zmartwieniem jest zwiększenie kontraktu, jaki zawiera szpital z Narodowym Funduszem Zdrowia – dodaje starosta. – Liczymy, że ze względu na duże zapotrzebowanie na usługi rehabilitacyjne Szpital Powiatowy w Białogardzie otrzyma zwiększony limit na Centrum Rehabilitacji i będziemy mogli uruchomić kolejne, właśnie przygotowywane dwadzieścia miejsc.

Z osiołkami i barszczykiem

KARLINO. Kilkadziesiąt osób uczestniczyło w zorganizowanej po raz drugi już wigilii miejskiej w Karlinie. W centrum miasteczka – między kościołem a ratuszem – mieszkańcy wspólnie kołędowali i składali sobie świąteczne życzenia. Wybór miejsca nie jest przypadkowy. Inicjatorzy spotkania – władze miasta i księża z karlińskiej parafii pw. św. Michała Archanioła – zgodnie podkreślają, że sąsiedztwo ratusza i kościoła są znakiem, iż współpraca między władzami świeckimi a duchowieństwem powinna być nierozzerwalna. Być może zimno sprawiło, że liczba karlinia-

ków, którzy wzięli udział w spotkaniu, była mniejsza niż przed rokiem. Ci, którzy przyszli, nie zawiedli się. Dla mieszkańców zaśpiewała schola parafialna prowadzona przez ks. Dariusza Szybę oraz chór Passionato, kołędy przygrywała też orkiestra strażacka. Najmłodszym największą uciechą sprawiła żywa szopka, a zwłaszcza przesympatyczne osiołki. Po życzeniach złożonych przez proboszcza ks. Ludwika Musiała i burmistrza Waldemara Miškę opłatkiem przełamali się mieszkańcy miasta, a następnie zasiedli do wigilijnego stołu.

Największym zainteresowaniem, podobnie jak w poprzednim roku, cieszyła się żywa szopka



KAROLINA PAWŁOWSKA

Jubileusz Zdzisława Pacholskiego

Znalazł świadków naszej historii

Mieszkańcom Koszalina jest znany jako odkrywca niezwykłych miejsc i postaci związanych z przeszłością miasta. Ale sam zapewnia, że wywodzącego się z Koszalina noblistę i mieszkającą w Austrii pisarkę, której rodzina pochodzi z Pomorza, „odkrył” przy okazji swojej twórczości. Zdzisław Pacholski, fotografik i miłośnik historii Koszalina, obchodzi 40-lecie pracy.

Godziny spędzone w plenerze i w fotograficznej ciemni, tysiące zdjęć, dziesiątki wystaw – twórczość fotograficzna niemal bez reszty wypełnia życie Zdzisława Pacholskiego.

Jako dwudziestoletni młodzienc brał już udział w profesjonalnych wystawach w Gdańsku, Szczecinie i niemieckim Rostocku. W 1977 r. został członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Przez wiele lat był członkiem Zarządu Głównego i Rady Artystycznej ZPAF-u.

Uczą się o nim studenci

Uczestniczył w wielu krajowych konkursach i wystawach. Sporo wystawiał też za granicą. W 1989 r. fotografie Pacholskiego prezentowane były na biennale sztuki w brazylijskim São Paulo. Brał udział także w wystawach w Nowym Jorku, Antwerpii i Budapeszcie. Był komisarzem i uczestnikiem zorganizowanej w Niemczech wystawy z okazji siedemdziesięciolecia polskiej fotawangardy. W siedmiu miastach RFN prezentował prace polskich twórców. Jako jedyny Polak został honorowym członkiem niemieckiego stowarzyszenia twórczego Walbergener Kreis. Listem gratulacyjnym wyróżnił go też prezydent Niemiec Johannes Rau. Wyjątkową realizacją Pacholskiego była ogromna praca złożona z cieni ludzkich postaci. Tytuł „Silent Majority” („Milcząca większość”) stał się przy okazji dodat-

kowym komentarzem do polskiej sytuacji lat 80. Pracę tę pokazał w szwedzkim Göteborgu, a potem na wystawie w Rheine (Niemcy). Co ciekawe: ta i inne fotografie Pacholskiego stały się tematem pracy magisterskiej, poświęconej artystycznym poszukiwaniom polskich fotografików drugiej połowy XX wieku. Napisała ją Marta Przybyło, studentka wydziału historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego.

To zresztą niejedyna publikacja, w której poświęcono miejsce Zdzisławowi Pacholskiemu. W „Antologii Fotografii Polskiej 1839–1989 roku” notę na jego temat znajdziemy obok sylwetek takich mistrzów obiektywu jak Ryszard Horowitz, Tadeusz Rolke czy Marek Karewicz. Sporo miejsca poświęcono mu też w publikacji „Najwybitniejsi twórcy i artyści Koszalina 1945–2000”.

Dzieło przypadku

Ale szczególne miejsce w działalności artysty zajmuje docieranie do ważnych postaci związanych z regionem koszalińskim. Jak „odkrył” naszego noblistę? W 1996 roku był z grupą fotografików w mieście Leira w Portugalii. Dostał tam propozycję zorganizowania w Polsce

wystawy o Annie Frank, Żydówce z Holandii, która w przejmującym pamiętniku zawarła świadectwo prześladowań nazistowskich. Zgodził się bez wahania. Wystawa, prezentowana w koszalińskim muzeum i w kilku innych miastach, spowodowała, że na nowo odżyła dyskusja o Holokauście. Kilka miesięcy później znajoma z Koszalina opowiedziała, że odwiedził ją profesor Baruch z Londynu, który mówił, że jest z pochodzenia Żydem i że mieszkał przed wojną w kamienicy przy ulicy Jana z Kolna. Przez przypadek Pacholski odkrył w Internecie, że ów londyńczyk jest wybitnym immunologiem. Wysłał mu list i katalog wystawy, i tak rozpoczęła się ożywiona korespondencja. Leslie Baruch urodził się w Koszalinie, ale tuż przed wojną, kiedy nasiliły się represje wobec Żydów, rodzice oddali go do sierocińca pod Berlinem. Stamtąd w specjalnym transporcie trafił do Wielkiej Brytanii i przyjął nazwisko Brent. Po wojnie podjął się pracy badawczej. Był członkiem zespołu uczonych, którzy w 1960 r. otrzymali Nagrodę Nobla. Fatalnie wspominał tę pierwszą wizytę w Koszalinie w 1988 r. Obcesowo potraktowali go urzędnicy, wobec czego przyrzekł sobie, że jego noga już nigdy w tym mieście nie

stanie. Na szczęście zmienił postanowienie: w 2001 r. odwiedził Koszalin po raz kolejny. Cztery lata później Leslie Brent gościł w Koszalinie już oficjalnie na zaproszenie władz miasta. – Gdybym przed laty nie zgodził się na zrobienie wystawy o Annie Frank, pewnie nie poznałbym profesora – podkreśla Zdzisław Pacholski. – A tak trafilem na prawdziwy diament. Byłoby rozrzutnością przejść obok niego obojętnie. Przez przypadek także poznał Ute Hoschele, mieszkającą w Austrii pisarkę, której przodkowie wywodzą się z Koszalina. Hoschele przyjechała do Koszalina i wstąpiła do pracowni Pacholskiego. Poszukiwała przedwojennych zdjęć miasta. Od słowa do słowa... Okazało się, że jej babka miała przed wojną dwie kamienice: jedna istnieje do dziś – przy ulicy Młyńskiej 62, druga została zburzona – stała dokładnie w miejscu, gdzie jest teraz pracownia Pacholskiego. Pisarka z Austrii i fotografik z Koszalina bez trudu znaleźli wspólny język.

Hoschele przyjechała do Koszalina jeszcze raz. Miała publiczne spotkanie z mieszkańcami. Piękne przemówienie publiczność nagrodziła owacjami. – Dzięki takim ludziom wiemy, kim jesteśmy, kto tu był przed nami – mówi Zdzisław Pacholski.

JAROSŁAW JURKIEWICZ

– Uwielbiam miejsca, które przypominają przeszłość Koszalina – mówi Zdzisław Pacholski



RADEK KOLEŚNIK



Nocny

Nikola spokojnie śpi, mama jest blisko, patrzy na nią jak w obraz i szuka w niej wszystkich rodzinnych podobieństw. **Choć waży niecałe trzy kilogramy, swoim rodzicom zmieniła cały świat.**

tekst i zdjęcia
JULIA MARKOWSKA

Cud? To u na

Szczęśliwe oczy matek

Doktor Roman Łabędź na koszalińskim oddziale położniczym pracuje ponad dwadzieścia lat. – Po wielu latach praktyki trafiają już do mnie kobiety, przy których narodzinach asystowałem – przyznaje z uśmiechem. – Jednak oczy zadowolonych matek, którym udaje się pomóc, są najlepszą motywacją do pracy. Dzisiejszy dyżur jest stresujący i przygnębiający, gdyż nie mieliśmy samych sukcesów. Straciliśmy dziecko, a to zawsze odbija się na całym zespole. Lekarz zwraca uwagę także na remont oddziału, który jest przeprowadzany w czasie jego funkcjonowania. Pół oddziału jest zamknięte, w dzień słychać tam odgłosy wiertarek i innych maszyn budowlanych. W drugiej części są upchane pacjentki. Zamknięta jest porodówka rodzinna. – Współczuję pacjentkom, które leżą na przepelnionych salach – mówi lekarz. – Ale musieliśmy dokonać wyboru: albo zamknąć na czas remontu oddział i odsyłać kobiety do szpitali w innych miastach, albo zminimalizować skutki przebudowy i funkcjonować prawie normalnie. Działamy, ale z powodu nadmiaru pacjentek jest to na pewno sytuacja kryzysowa – kwituje położnik. – Duża liczba pacjentek jest spowodowana czasowym zamknięciem porodówek w Kołobrzegu i Białogardzie.

Sylwester w szpitalu

– Dokładnie dwa lata temu w sylwestrowy dyżur zrobiłem cesarskie cięcie, w wyniku którego przyszło na świat w 25. tygodniu ciąży dziecko ważące 520 gramów. Dzięki pracy neonatologów rośnie zdrowo i ma się nieźle – wspomina doktor Roman Łabędź. – Bardzo cieszy fakt, że jesteśmy w stanie ratować coraz mniejsze dzieci.

Położna, która zwykle pracuje na oddziale noworodkowym, w tym roku

Monika Kozak z córeczką

Młoda mama na sali porodowej spędziła trzynaście godzin. – Jestem tak naprawdę zmęczona, ale nie mogę przestać na nią patrzeć. Jeszcze do mnie nie dotarło, że jestem mamą – przyznaje. – Dostałam najpiękniejszy prezent na Boże Narodzenie i

wczorajsze urodziny. Jeszcze kilka godzin temu nie było córki. Ale już jest! Chyba dopiero teraz zrozumie, co to znaczy. Czas pokaże mi, co oznacza być mamą.

Pan Robert czeka w pokoju odwiedzin na narodzenie syna. Wspiera go młodszy brat. – Chcieliśmy rodzić razem, ale nie wyszło niestety, na szczęście położne, które są dziś na dyżurze, uczyły nas w szkole rodzenia. Wspierają mnie i żonę – mówi pan Robert. Mężczyzna bardzo chwali sobie te zajęcia. – Nauczyłem się bardzo wiele, można powiedzieć, że jestem przeszkolony w stu procentach. Elementarne sprawy, wszystko tam zobaczyłem – mówi pewny siebie przyszły tato. Przyznaje jednak, że okres ciąży żony był i dla niego olbrzymią zagadką. – Niesamowite wrażenie, gdy dotykałem brzucha żony, a w środku wszystko się kotłowało. Wielokrotnie brakowało mi słów. Głaskałem brzuch i mówiłem: „Wojtuś, jesteś tam”, a on dawał znak życia nóżką czy rączką. Wiedział, że do niego mówię – opowiada pan Robert i nasłuchuje, czy Wojtek już zmienił jego świat. Jeszcze nie, więc czekamy dalej.





Dzieci rodzą się najczęściej nocą. Tym razem na świat przyszli Kacper (z lewej) i Nikola



y dyżur na porodówce

as codzienność!

święta spędza tu w roli pacjentki. – Mam już pięcioletniego syna, a w brzuchu dwie małe dziewczynki – mówi z dumą. – Będą miały na imię Zuzia i Julia – planuje. – Wprowadzie termin mam dopiero na 13 stycznia, ale wiadomo, że bardzo trudno będzie się do tego zastosować. Jestem w szpitalu dla ich bezpieczeństwa.

Agnieszka Dżuga jest położną od siedmiu lat i zapewnia, że robi w życiu to, co lubi. – Jest to chyba jedyny zawód, w którym bardzo trudno czuć się wypalonym, pod warunkiem że się tę pracę kocha. Bo bez miłości się nie da – podkreśla. – Położne mają możliwość na co dzień uczestniczyć w cudzie narodzin, mamy możliwość dotykania radości macierzyńskiej. Ładuje nam to akumulatory na cały dzień ciężkiej pracy. Zdaniem położnej pomimo wybuchu tej miłości przy narodzinach z każdym dniem mama i tata uczą się jej coraz mocniej i wyraźniej, z każdym dniem staje się ona coraz większa.

Narodziny taty

Sławek szybko wpada na porodówkę. Oczekujący na narodziny syna Robert patrzy na niego z zazdrością. Sławek już od godziny 17.35 jest szczęśliwym tatą, do szpitala przyszedł tylko na chwilę, by przekazać zmęczonej mamie ubrania i rzeczy osobiste. Jednak wciąż recytuje z uśmiechem, bez zająknięcia: – Ula ważyła 3730 g, 10 punktów i jest bomba. Robert nadal czeka i przysłuchuje się rozmowie Ormian, którzy od wczoraj są rodzicami Arka. – W naszym kraju imię to oznacza „słoneczko”. Za parę miesięcy wyjedziemy do kraju, by przedstawić mu rodzinę, babcię, dziadków. Kiedy po porodzie mały znalazł się na moim brzuchu, zaczęłam mówić do synka po ormiańsku – wspomina młoda mama. – Na sali porodowej nagle wszyscy zamilkli i słuchali, co ja mówię; a później poprosili, żebym im tę przemowę przetłumaczyła. A ja mu życzyłam, by był zdrowy, zdolny, mądry, ładny i by podobało mu się na świecie.

Robert słyszy krzyk żony. Położna mówi mu, że urodził się zdrowy syn, ważył 3,01 kilograma, dostał 10 punktów w skali Apgar. Na twarzy mężczyzny pojawia się miłość, radość, dumna i odpowiedzialność równocześnie. Nie umie nic powiedzieć, płacze, przytula wszystkich bardzo mocno. W tej chwili urodził się Wojtek i jego tato.

Do końca dyżuru zostało jeszcze sześć godzin. Lekarz nie ma złudzeń, na pewno ktoś się jeszcze urodzi. – W świetle ssa-ków jest tak, że ten urodzony w nocy ma największe szansę na przeżycie. Dlatego dzieci rodzą się najczęściej w nocy, takie prawo natury.

Po prawej: Połowa oddziału położniczego jest zamknięta z powodu remontu

Na dole: Doktor Roman Łabędź na koszalińskim oddziale położniczym pracuje ponad dwadzieścia lat



Skandal na wernisżu

Bez prześladowanych

Lech Kozera, przewodniczący, i członkowie kołobrzeskiego oddziału Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym oraz ich sympatycy wyszli z otwarcia wystawy „Twarze kołobrzeskich bezpieki”.

Bezpośrednią przyczyną było niedopuszczenie Lecha Kozery do mikrofonu i uniemożliwienie mu przemówienia w imieniu osób represjonowanych. Ale zamieszanie wokół wystawy i tzw. Listy Kozery trwało już od paru dni.

Kto powinien mówić

Wystawę „Twarze kołobrzeskich bezpieki” zorganizował szczeciński oddział IPN i Kołobrzeskie Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej, którego prezesem jest Artur Baranowski. KSIT odpowiadał za część logistyczną przedsięwzięcia, w tym i za ustalenie, kto i kiedy ma wystąpić w trakcie otwarcia wystawy. Na liście sporządzonej przez prezesa Baranowskiego Lecha Kozery i Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym nie było. Gdy po wystąpieniu prezesa KSIT, przedstawiciela IPN, prezydenta miasta, posła Sebastiana Karpiniuka i posła Czesława Hoca do mikrofonu podszedł Lech Kozera, Baranowski wyłączył mikrofon i nie dopuścił go do głosu. Kozera wraz z członkami Stowarzyszenia i ich rodzinami oraz

sympatykami oburzeni i zdegradowani demonstracyjnie opuścili wystawę.

Jak wyjaśnił Lech Kozera, podczas wystawy milenijnej w kołobrzeskich konkatedrze, która odbyła się w lipcu 2007 r., rozmawiał z dyrektorem szczecińskiego IPN Kazimierzem Wóycickim o zorganizowaniu w mieście wystawy dotyczącej funkcjonariuszy bezpieki. Według ustaleń Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym miało współpracować przy wystawie. – Do współpracy jednak nie doszło i wystawa powstała bez udziału ludzi prześladowanych przez bezpiekę. Nie pozwolono mi również zabrać głosu w czasie otwarcia wystawy. A chciałem wyjaśnić w paru słowach sprawę tak zwanej listy osób represjonowanych oraz dodać parę zdań na temat zbliżających się świąt – powiedział Kozera. – Wystawę koniecznie powinna obejrzeć młodzież. Po zamknięciu ekspozycji chcielibyśmy, żeby pokazywano ją w kołobrzeskich szkołach ponadgimnazjalnych na lekcjach historii, w trakcie których moglibyśmy opatrzyć zdjęcia własnymi komentarzami, bo z wieloma z tych ludzi mieliśmy osobiście do czynienia.

Lista Kozery

Zarówno Kozera, jak i członkowie Stowarzyszenia stwierdzili, że tzw. Lista Kozery w rzeczywistości zawierała spis osób, które według nich powinny być zo-



ZDJEŃCA KAROL SKIBA

stać imiennie zaproszone na otwarcie wystawy. Przekazana została do szczecińskiego IPN. Ponieważ zaproszeniami dysponował jeszcze prezes KSIT A. Baranowski, listę przesłano ze Szczecina właśnie jemu. Kozera nie wie, jak lista znalazła się na jednym z internetowych portali jako lista osób represjonowanych.

Przed wejściem do galerii, gdzie odbywało się otwarcie wystawy, Kozera rozdawał czasopismo PiS „Kołobrzeską Lupę”. W numerze znalazły się wspomnienia osób internowanych ze stanu wojennego oraz wymienieni z imienia i nazwiska funkcjonariusze SB, ich współpracownicy z MO, Wojsk Ochrony Pogranicza i ORMO. – Wystawa jest niepełna. Dlaczego nie ma nazwisk osób, które otrzymałam

Artur Baranowski z KSIT i Lech Kozera ze Stowarzyszenia Osób Represjonowanych w Stanie Wojennym. W głębi po prawej **dr Marcin Stefaniak z IPN w Szczecinie podczas otwarcia wystawy**

w odtajnionych moich teczkach? Mówią organizatorzy wystawy, że to twarze kierownictwa. Czy major, podpułkownik, pułkownik to za niskie stopnie? – mówi rozgoryczona Zofia Szymańska, współzałożycielka „Solidarności” w Uzdrowisku Kołobrzeg. Teresa Stębowska z nauczycielskiej „Solidarności” uważa, że w informatorze towarzyszącym wystawie jest wiele stron, na których można było chociaż podać imiona i nazwiska prześladowców. – Z ujawnieniem reszty nazwisk czekają, aż umrzemy – replikowała.

Artur Baranowski, prezes KSIT zachowanie Lecha Kozery uznał za niepotrzebny zgrzyt. – To my w czerwcu zorganizowaliśmy spotkanie z Januszem Kurtyką i ks. Isakowiczem-Zaleskim. Wtedy narodził się pomysł organizacji takiej wystawy. Ma ona mieć wydźwięk edukacyjny. Stowarzyszenie osób represjonowanych nie zgłosiło się do nas, mimo że przygotowania do wystawy trwały od czerwca. Zresztą my przygotowaliśmy ją logistycznie, stroną merytoryczną zajął się IPN. Zamieszaniem zaskoczeni byli przedstawiciele szczecińskiego oddziału IPN. Pierwszy raz zetknęli się z tak silnymi emocjami podczas organizowanych przez IPN wystaw. Nie chcieli jednak komentować zdarzenia ani konfliktu, w którym nie są stroną.

MARZENA BAMBER



Nasza mała ojczyzna

U stóp Góry Chełmskiej

W Sianowie lubią badać przeszłość i są dumni ze swojej historii.

Dzięki staraniom Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Sianowskiej, Urzędu Gminy i Miasta Sianów oraz Archiwum Państwowego w Koszalinie powstała książka, która przyczyni się do zaprezentowania szerszemu gronu odbiorców dziejów leżącego nieopodal Koszalina miasteczka.

Historia dwóch narodów

Jak mówi burmistrz Sianowa, Ryszard Wątroba, inspiracją do wydania książki „U stóp Góry Chełmskiej. Wstęp do dziejów Sianowa” stało się spotkanie z niemieckim artystą malarzem Zygrydem Barzem. – Spotkanie z tym człowiekiem, z urodzenia sianowianinem, które miało miejsce przed dziesięciu laty, zaowocowało naszą publikacją – wyjaśnia burmistrz. – Po drodze naturalnie trzeba było spotkać jeszcze więcej osób, które oprócz prywatnej



ZDJEŃCIA KAROLINA PAWŁOWSKA

mości dostarczyły materiałów, wciąż jeszcze potrzebnych do wypełnienia różnych luk. Powstała publikacja opracowana została na podstawie trzytomowej pracy pt. „Dicht hinterm Gollen” niezującego już Herberta Zielkiego, również przedwojennego mieszkańca Sianowa, który znaczną część życia poświęcił na zebranie materiałów o miejscu swego pochodzenia. – Herbert Zielke zbierał i analizował materiały o Sianowie przez blisko dziesięć lat. Powstało z tego dzieło liczące 1612 stron – opowiada Zygryd Barz. – Miesiąc temu jego żona ofiarowała mi całą spuściznę po Herbertie – dokumenty, listy i książki. Już po pierwszym rozeznaniu widzę, że jest wśród nich wiele materiałów, które nie były jeszcze publikowane, i mam nadzieję, że będą

Spotkanie z Zygrydem Barzem, pochodzącym z Sianowa artystą malarzem, stało się początkiem prac nad historią miasta

aż ujrzała światło dzienne. Chciał, by jego dzieło było również przyczynkiem do zaszeregowania się historii dwóch narodów, a myślę, że „Szkice do dziejów Sianowa” są w tym kierunku kamieniem milowym.

Zamek i zapalki

Istotą przedsięwzięcia było przygotowanie w formie popularnonaukowej wydawnictwa, które ma popularyzować lokalną historię, w tym wypadku poszerzać wiedzę o dziejach Sianowa do 1945 r., ze szczególnym uwzględnieniem wspólnego dziedzictwa oraz ciągłości historycznej Pomorza Środkowego. – Wciąż są w historii miejsca

– Ta mała miejscowość ma arcyciekawą historię – od Bogusława X, który miał tu swój zamek, poprzez choćby Augusta Kolbe, założyciela fabryki zapalek, którą zasłynął Sianów niemal na całym świecie, przez te wszystkie etapy dziejowe, które doprowadziły do osadnictwa polskiego po II wojnie światowej – opowiada Joanna Chojecka, pod której redakcją powstała książka

nie do końca odkryte, które wymagają od nas tego, by uważniej się im przyjrzeć – mówi Ryszard Wątroba, który z wykształcenia jest nauczycielem historii. – Nikt nie chce podważać, że do 1945 r. mieszkali tu Niemcy, a teraz te tereny należą do nas. Chodzi o to, byśmy wspólnie pamiętali o przeszłości. Jak zauważają osoby, które podjęły się przygotowania wydawnictwa, o jego ukazaniu się zdecydował przede wszystkim upór burmistrza Sianowa. – Determinacja i entuzjazm Ryszarda Wątroby zdecydowały o tym, że podjęliśmy się wspólnie z Adamem Muszyńskim tego zadania. Chcieliśmy przedstawić pewną ciągłość historyczną i szukać pomostu między dwoma narodami, z którymi są związane losy Sianowa. Ta mała miejscowość ma arcyciekawą historię – od Bogusława X, który miał tu swój zamek, poprzez choćby Augusta Kolbe, założyciela fabryki zapalek, którą zasłynął Sianów niemal na całym świecie, przez te wszystkie etapy dziejowe, które doprowadziły do osadnictwa polskiego po II wojnie światowej – mówi dyrektor Archiwum Państwowego w Koszalinie Joanna Chojecka, pod której redakcją powstała publikacja. W książce znajdują się nieznanne do tej pory fakty historyczne, liczne zdjęcia archiwalne oraz grafiki Zygryda Barza, przedstawiające Sianów sprzed II wojny światowej. Autorzy chcieliby również, by stała się ona przyczynkiem i zachętą do stworzenia kompleksowej monografii miasta, która w sposób wyczerpujący i analityczny stanowiłaby kompendium wiedzy o dziejach Sianowa. – Podczas badań stwierdziliśmy, że nie ma monografii, która w pełni prezentowałaby zarówno historię miasta do 1945 r., jak i późniejszą. Jest to o tyle zaskakujące, że możemy mówić o dość bogatym zasobie źródeł. Zachęcam zatem szczególnie młodych ludzi, by sięgali do nich, bo to od was zależy, na ile rzetelnie wasza historia zostanie opracowana – dodaje Chojecka.

KAROLINA PAWŁOWSKA





W Koszalinie siostry mieszkają od 1974 r. W tej chwili w domu zakonnym jest ich pięć



Za swoją pracę z dziećmi s. Melania otrzymała dyplom gratulacyjny od bp. Włodzimierza Juszcza

PANORAMA PARAFII

Siostry Służebnice NPM. Dom zakonny pw. św. Józefa w Koszalinie

Zdolności trzeba wykorzystywać

Po II wojnie światowej trzydzieści trzy domy sióstr służebniczek, które znalazły się na terenie Polski, zostały zniszczone. Część sióstr wywieziono na Ukrainę, część trafiła na Ziemię Odzyskaną.

Zgromadzenie Sióstr Służebnic Niepokalanej Panny Maryi należy do Kościoła greckokatolickiego. – Nasze zgromadzenie zostało założone w roku 1892 w Żużelanach – wyjaśnia s. Melania Kuzio, przełożona domu zakonnego w Koszalinie. – Zamysłem założycieli było, aby to zgromadzenie pracowało wśród ludzi. Założycielami byli misjonarz o. Jeremiasz Łomnicki i miejscowy proboszcz ks. Cyryl Selecki oraz Michalina Hordaszewska, która jako s. Józefa wstąpiła do zgromadzenia. W 2001 r. we Lwowie została przez Jana Pawła II ogłoszona błogosławioną.

Na Ziemiach Odzyskanych

Na Pomorzu Środkowym siostry znalazły się już w 1947 r., przyjechały do Nowogardu i Miastka – gdzie pracowały w szpitalu, później do Goleniowa, Wałcza i Świdwina – gdzie objęły prace przy parafiach obrządku łacińskiego. – Wówczas nie było tu naszych księży – opowiada s. Melania. – Siostry słabo znały obrządek łaciński, a w szpitalach ważna była dobra znajomość języka polskiego. Obecnie jesteśmy na stałe w Goleniowie i Świdwinie, nasz dom jest też w Koszalinie, gdzie siostry przybyły najpóźniej. Dopiero w 1974 r. na prośbę śp. ks. Włodzimierza Pырczaka został tu założony dom zakonny, który od samego początku spełniał rolę misyjną. Siostry mieszkające w nim pracują dla wielu parafii greckokatolickich na Pomorzu Środkowym, organizują spotkania, przygotowują dzieci do I Komunii, do świąt przez kolędo-

wanie, wertepy, czyli jasełka, pomagają kultywować ukraińską kulturę i tożsamość, pieką też komuni-kanty, prosfory. Pracują również z rodzinami – organizują zjazdy kobiet, festiwale twórczości sakralnej, wyjeżdżają z dziećmi na różne uroczystości, na spotkania integracyjne w polskich parafiach greckokatolickich, ale i też np. do Kijowa.

Inwestycja w dzieci

– Przez dziesięć lat dojeżdżałam do Wałcza, najpierw sama, potem z s. Teresą i s. Wiktoria – opowiada s. Melania. – Bardzo mile wspominały to miasto, bo ludzie doceniali, że dojeżdżamy taki szmat drogi. Sami dowozili dzieci na lekcje religii z okolicznych wsi, ale nieżyjący już ks. Teodor Marków mówił, że w dzieci trzeba inwestować, dawać im Boga, starać się, by mogły poznać swoje tradycje. Teraz siostra pracuje w szko-

le podstawowej i gimnazjum w Białym Borze, dojeżdża do Międzyborza, współorganizuje rekolekcje dla młodzieży. Wraz z siostrami zapraszają ludzi do wspólnej modlitwy, do rozmów np. o akatyście, o ikonach, odwiedają chorych, samotnych. – Staramy się pracować jak najwięcej, ale trochę nas mało – mówią siostry. Jest ich tylko pięć: Leonia, Joanna, Tatiana, Damiana i Melania. S. Leonia ma już ponad czterdzieści lat, ale – jak mówią siostry – nadal tryska humorem i dodaje wszystkim otuchy.

S. Melania pracuje z dziećmi od ponad trzydziestu lat, od początku misji, jak mówi o swoim powołaniu. – Właściwie zawsze chciałam być siostrą zakonną, podobnie i moja starsza siostra, ale ona była bardziej ułożona, odpowiedziałna – wyznaje przełożona. – Kiedy ona poszła do klasztoru, do tego samego zgromadzenia, było to takie oczywiste, rodzice się temu nie dziwili. Dwa lata później, gdy ja wybrałam tę samą drogę – a zawsze byłam bardzo energiczna, bardzo

wesoła, wszędzie mnie było pełno – tata bardzo to przeżywał, martwił się, że nie podołam. Ja jednak wiedziałam, że chcę służyć Panu Bogu i ludziom, bo chociaż kochałam muzykę, życie, w którym wiele się dzieje, czułam, że wybieram dobrze. Maturę zdawałam już będąc w zgromadzeniu, potem były studia teologiczne w Warszawie. Powołanie to łaska, którą się otrzymuje, to zaproszenie do współpracy. Jako dziecko nie odbierałam tego tak świadomie, wiedziałam tylko, że chcę być siostrą, że chcę do klasztoru. Jest też z nami siostra, która bardzo kocha muzykę, taniec był jej pasją. Pewnego razu zakreśliła piękne francuskie loki, przetańczyła cały wieczór, wspomniała się bawiąc, a następnego dnia postanowiła znaleźć adres zgromadzenia i natychmiast to uczyniła. Pojechała na rekolekcje i wkrótce wstąpiła do klasztoru. Taniec kocha do tej pory, ale to nie przeszkadza jej być wspaniałą zakonnicą. Każdy może tu wykorzystywać swoje zdolności.

BEATA STANKIEWICZ